

Nie opuszczaj

KAZUO ISHIGURO

mnie

Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017



ALBATROS

Rozdział 1

Nazywam się Kathy H. Mam trzydzieści jeden lat i jestem opiekunką od przeszło jedenastu lat. Wiem, że to długo, ale właściwie chcę, żebym to robiła jeszcze przez osiem miesięcy, do końca tego roku. Wtedy minie prawie dokładnie dwanaście lat. Zdaję sobie sprawę, że ten długi okres niekoniecznie wynika z tego, że ich zdaniem jestem taka fantastyczna w tym, co robię. Zdarzają się naprawdę dobrzy opiekunowie, których odwołują już po dwóch albo trzech latach. I przychodzi mi na myśl przynajmniej jeden opiekun, który pełnił tę funkcję przez całe czternaście lat, mimo że do niczego się nie nadawał. Więc nie próbuję się przechwalać. Z drugiej strony dobrze wiem, że są zadowoleni z mojej pracy i generalnie rzecz biorąc, ja też jestem. Moi dawcy zawsze radzą sobie lepiej, niż się spodziewano. Ich okresy rekonwalescencji są imponująco krótkie i prawie żadnego nie zaliczono do kategorii „nadpobudliwych”, nawet przed czwartą donacją. No dobrze, może rzeczywiście trochę się przechwalam. Ale to dla mnie dużo znaczy, fakt, że jestem w stanie dobrze wykonywać moją pracę, a zwłaszcza że dawcy, którymi się opiekuję, pozostają wyciszeni. Mam do nich odpowiednie podejście. Wiem, kiedy przy nich być i pocieszać, a kiedy zostawić samym sobie; kiedy słuchać wszystkiego, co mają do po-

wiedzenia, a kiedy wzruszyć po prostu ramionami i kazać im się przymknąć.

Swoją drogą, nie domagam się jakiegoś specjalnego uznania. Znam opiekunów, aktualnie pracujących, którzy są tak samo dobrzy i nie cieszą się nawet w połowie tak dużą estymą. Jeśli się do nich zaliczacie, nie dziwię się, że mi zazdrościcie – mojej kawalerki, samochodu, a przede wszystkim tego, że wolno mi wybierać swoich podopiecznych. No i tego, że byłam wychowanką Hailsham – co samo w sobie wkurza niektóre osoby. Kathy H., mówią, może wybrzydzać i zawsze wybiera podobne do siebie osoby: z Hailsham albo któregoś z innych uprzywilejowanych domów. Nic dziwnego, że ma piękny dorobek. Słyszałam takie opinie dosyć często, więc jestem pewna, że wy słyszeliście je jeszcze częściej i może coś w tym rzeczywiście jest. Ale nie mnie pierwszej pozwolono wybierać, i wątpię, żebym była ostatnia. A swoją drogą, miałam okazję opiekować się dawcami, którzy wywodzą się z najróżniejszych miejsc. Pamiętajcie, że kiedy skończę, będę miała za sobą dwanaście lat tej roboty i tylko w ciągu ostatnich sześciu pozwolono mi wybierać.

Dlaczego zresztą mieliby mi tego zabraniać? Opiekunowie to nie automaty. Człowiek daje z siebie wszystko przy każdym dawcy, ale go to w końcu wyczerpuje. Nie dysponuje bezgraniczną cierpliwością i energią. Więc kiedy daje mu się szansę wyboru, wybiera oczywiście swoich. To naturalne. Nie mogłabym pracować tak długo, jak pracuję, gdybym nie współczuła moim dawcom na każdym etapie ich drogi. A zresztą, gdyby nie dano mi możliwości wyboru, jak mogłabym po tych wszystkich latach zbliżyć się ponownie do Ruth i Tommy'ego?

Ostatnio jednak jest oczywiście coraz mniej dawców, których pamiętam, więc praktycznie wcale tak bardzo nie grymaszę. Praca jest, jak powiadam, o wiele cięższa, kiedy nie ma się głębokiego związku z dawcą, i chociaż będzie mi

jej brakowało, wydaje się chyba słuszne, aby pod koniec tego roku wreszcie z tym skończyć.

Tak się składa, że Ruth była trzecią albo czwartą dawczynią, którą pozwolono mi wybrać. Miała już w tym czasie przydzieloną opiekunkę i pamiętam, że wymagało to z mojej strony trochę tupetu. W końcu jednak mi się udało i kiedy tylko ją zobaczyłam, w tym ośrodku rehabilitacyjnym w Dover, wszystkie dzielące nas różnice zdań – chociaż do końca o nich nie zapomnialiśmy – nie wydawały się nawet w przybliżeniu tak ważne jak inne rzeczy – to, że dorastaliśmy razem w Hailsham oraz że znałyśmy i pamiętałyśmy sprawy, których nie pamiętał i nie znał nikt inny. Przypuszczam, że chyba od tamtego momentu zaczęłam wybierać na swoich dawców ludzi związanych w jakiś sposób z moją przeszłością, i gdy to tylko możliwe, ludzi z Hailsham.

W ciągu tych lat bywały chwile, kiedy próbowałam zapomnieć o Hailsham, kiedy powtarzałam sobie, że nie powinnam tak często oglądać się wstecz. Nadszedł jednak moment, kiedy przestałam po prostu z tym walczyć. Musiało to mieć związek z dawcą, którym opiekowałam się w trzecim roku mojej pracy; mam na myśli jego reakcję, gdy napomknęłam, że jestem z Hailsham. Miał już za sobą trzecią donację, która nie poszła najlepiej, i musiał wiedzieć, że nie wróci do normy. Nie mógł prawie oddychać, ale spojrzał na mnie i mruknął: „Hailsham... Założę się, że to było piękne miejsce”. A potem, nazajutrz rano, kiedy starając się zająć czymś jego umysł, zapytałam, gdzie dorastał, wymienił jakieś miejsce w Dorset, i na jego pokrytej wybroczynami twarzy ukazał się zupełnie nowy grymas. I zdałam sobie wówczas sprawę, jak bardzo nie chciał, żeby mu o tym przypominano. Zamiast tego pragnął, żebym mu opowiadała o Hailsham.

Przez następne pięć albo sześć dni opowiedziałam mu zatem wszystko, co chciał wiedzieć, a on leżał tam z łagodnym uśmiechem, podłączony do wszystkich systemów. Py-

tał o duże i małe sprawy. O naszych wychowawców, o to, czy każde z nas miało rzeczywiście pod łóżkiem skrzynkę z własną kolekcją, o piłkę nożną, o palanta, o wąską ścieżkę, która obiegała dookoła cały dom i wszystkie jego zakamarki, o staw z kaczkami, o jedzenie i o widok z pracowni plastycznej na pola w mglisty poranek. Pewne rzeczy musiałam mu bez końca powtarzać; chociaż opisałam je zaledwie dzień wcześniej, pytał mnie, jakbym w ogóle o nich nie wspomniała. „Czy mieliście salę gimnastyczną?”. „Którego wychowawcę najbardziej lubiliście?”. Z początku myślałam, że jest zamroczony lekami, ale potem zdałam sobie sprawę, że ma jasny umysł. Chciał po prostu nie tylko słuchać o Hailsham, lecz wszystko zapamiętać, tak jakby to było jego własne dzieciństwo. Wiedział, że jest bliski zejścia, i dlatego to robił: kazał mi opisywać różne rzeczy, żeby wbiły mu się w pamięć i żeby później, w trakcie tych bezsennych nocy, kiedy będzie odurzony bólem, lekami i zmęceniem, zatarła się granica pomiędzy moimi i jego wspomnieniami. Wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałam, naprawdę zrozumiałam, jakie mieliśmy szczęście – Tommy, Ruth, ja i cała reszta.

*

Jeżdżąc teraz po kraju, widzę rzeczy, które przypominają mi Hailsham. Mijając skraj zasnutego mgłą pola albo zjeżdżając dolinę i widząc w oddali fragment jakiejś rezydencji bądź tylko szpaler rosnących na wzgórzu topoli, myślę czasami: „To chyba to miejsce! Znalazłam je! To rzeczywiście jest Hailsham!”. A potem spostrzegam, że to niemożliwe, i jadę dalej, dumając o czymś innym. Dotyczy to zwłaszcza sal gimnastycznych. Widuję je w całym kraju, wzniesione przy boiskach, niewielkie białe budynki z prefabrykatów z nienormalnie wysokimi oknami, schowanymi niemal pod okapem. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zbudowano ich chyba bardzo dużo i nasza pochodziła prawdopo-

dobnie z tego okresu. Mijając którąś z nich, przyglądam jej się tak długo, jak to możliwe, i któregoś dnia rozbiję przez to samochód, lecz nie mogę się powstrzymać. Jechałam niedawno przez Worcestershire i zobaczyłam przy boisku do krykieta salę gimnastyczną tak bardzo podobną do naszej w Hailsham, że zawróciłam samochód, żeby jeszcze raz się jej przyjrzeć.

Uwielbiliśmy naszą salę gimnastyczną, być może dlatego, że przypominała nam wszystkie te małe śliczne domki, które oglądaliśmy w książkach z obrazkami, kiedy byliśmy mali. Pamiętam, jak jeszcze w juniorach prosiliśmy wychowawców, żeby poprowadzili następną lekcję w sali gimnastycznej zamiast w normalnej klasie. A potem, w drugiej klasie seniorów, kiedy mieliśmy po dwanaście lat i wchodziliśmy w trzynasty rok życia, sala gimnastyczna stała się miejscem, w którym zaszywaliśmy się ze znajomymi, kiedy chcieliśmy odizolować się od reszty.

Sala była dość duża, by pomieścić dwie oddzielne grupki, które nie przeszkadzały sobie nawzajem – w lecie trzecia grupka mogła siedzieć na werandzie. Ale ideałem było oczywiście zagarnięcie całego miejsca tylko dla siebie, więc często dochodziło do kłótni i przepychanek. Wychowawcy powtarzali nam zawsze, żebyśmy załatwiali to w sposób cywilizowany, w praktyce jednak, żeby zająć salę gimnastyczną podczas przerwy albo okienka między lekcjami, trzeba było mieć w swojej paczce kogoś o silnej osobowości. Ja sama nie należałam do zbyt zahukanych, przypuszczam jednak, że przebywałyśmy tam tak często głównie dzięki Ruth.

Na ogół siadałyśmy po prostu na krzesłach i ławkach – było nas pięć albo sześć dziewczyn, jeśli dołączyła akurat Jenny B. – i plotkowałyśmy na całego. Pewnego rodzaju rozmowy można było prowadzić tylko w sali gimnastycznej; mogłyśmy dyskutować o czymś, co nas niepokoiło, bądź też zaśmiewać się do łez lub skakać sobie do oczu. Przed

wszystkim dawało to możliwość chwilowego odprężenia się w gronie najbliższych znajomych.

W to popołudnie, o którym chciałam teraz opowiedzieć, stałyśmy wszystkie na stołkach i ławkach przy wysokich oknach. Widziałyśmy dzięki temu wyraźnie północne boisko, na którym kilkunastu chłopców z naszego roku oraz trzeciej klasy seniorów zebrało się, żeby rozegrać mecz piłki nożnej. Było jasno, ale wcześniej musiało padać, ponieważ pamiętam, że zabłocona trawa lśniła w promieniach słońca.

Któraś z nas powiedziała, że nie powinnyśmy się tak nachalnie gapić, lecz mimo to nie odsunęłyśmy się od okien.

– On niczego nie podejrzewa – stwierdziła po chwili Ruth. – Popatrzcie na niego. On naprawdę niczego nie podejrzewa.

Kiedy to powiedziała, spojrzałam na nią, szukając oznak dezaprobaty wobec tego, co chłopcy mieli zamiar zrobić Tommy’emu. Ale Ruth parsknęła śmiechem.

– Co za dureń! – mruknęła.

A ja zdałam sobie sprawę, że dla Ruth i innych dziewczyn to, co zamierzali robić chłopcy, było z nami zupełnie niezwiązane; nasza aprobata bądź jej brak nie miały żadnego znaczenia. Stałyśmy przy oknach nie po to, by napawać się widokiem ponownie upokarzanego Tommy’ego, lecz dlatego, że doszły nas słuchy o tym najnowszym spisku i byłyśmy trochę ciekawe, jak się rozwinie. Nie sądzę, żeby w tamtych czasach to, co robili między sobą chłopcy, obchodziło nas w jakimś większym stopniu. Dla Ruth i dla innych dziewczyn było to zupełnie nieistotne, i wiele wskazuje na to, że podzielałam ich nastawienie.

Choć może źle to zapamiętałam. Może już wówczas, widząc Tommy’ego, który biegł przez boisko z wyrazem niekłamanej radości na twarzy, ponieważ znowu został zaakceptowany i miał zagrać w piłkę nożną, w której był taki dobry, poczułam lekkie ukłucie bólu. Pamiętam, iż zauważyłam, że Tommy ma na sobie cienką koszulkę polo,

którą dostał na wyprzedazy w poprzednim miesiącu – tę, z której był taki dumny. „Prawdziwy z niego dureń, skoro chce w niej grać – pamiętam, że pomyślałam. – Na pewno ją zniszczy i ciekawe, jak się wtedy będzie czuł?”.

– Tommy włożył swoją koszulkę – powiedziała na głos, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Swoją ulubioną koszulkę polo.

Nie sądzę, żeby ktoś mnie usłyszał, ponieważ wszystkie śmiały się z Laury, największej śmieszki w naszej grupce; naśladowała miny pojawiające się kolejno na twarzy Tommy’ego, kiedy biegał, machał rękoma, wołał coś i szarżował z piłką. Inni chłopcy snuli się po boisku niczym muchy w smole, jak zawsze podczas rozgrzewki, ale podekscytowany Tommy zasuwiał na całego.

– Pochoruje się, jeśli zniszczy tę koszulkę – odezwałam się głośniej.

Ruth tym razem mnie usłyszała, lecz musiała pomyśleć, że to z mojej strony jakiś żart, ponieważ roześmiała się bez przekonania i rzuciła własną drwiącą uwagę.

A potem chłopcy przestali kopać piłkę, stanęli w kółeczku w błocie i z unoszącymi się i opadającymi w oddechu piersiami czekali, aż zacznie się wybieranie zawodników. Dwaj kapitanowie, którzy się zgłosili, byli z trzeciej klasy seniorów, chociaż wszyscy wiedzieli, że Tommy gra lepiej niż ktokolwiek z tamtego roku. Rzucili los, kto pierwszy wybiera, i ten, który wygrał, przyjrzał się grupie.

– Patrzcie na Tommy’ego – zagadnęła któraś z dziewczyn. – Jest na sto procent pewien, że wybiorą go pierwszego. Po prostu na niego patrzcie.

Tommy sprawiał w tym momencie rzeczywiście komiczne wrażenie i można było pomyśleć: „No dobrze, zgoda, skoro jest taki tępy, zasługuje na to, co go czeka”. Inni chłopcy ignorowali proces wybierania, udając, że nie dbają o to, do której wejdą drużyny. Kilku rozmawiało półgłosem, inni zawiązywali na nowo sznurowadła, a jeszcze inni gapili

się po prostu we własne stopy, przebierając nogami w błocie. Tylko Tommy wpatrywał się z napięciem w chłopaka z trzeciej klasy seniorów, jakby słyszał już swoje nazwisko.

Laura kontynuowała przez cały czas swój występ, naśladowując wszystkie miny, które pojawiły się na twarzy Tommy'ego: tryskającą szczęściem na samym początku, skonsternowaną i zdziwioną, kiedy wywołano już czterech zawodników, a on nie miał przydziału; zbolałą i spanikowaną, gdy zaczął sobie uświadamiać, co naprawdę jest grane. Nie oglądałam jej wygłupów, ponieważ przez cały czas obserwowałam Tommy'ego; domyślałam się tylko, co robi Laura, bo inne dziewczęta śmiały się i ją zachęcały. A potem Tommy został sam i wszyscy chłopcy zaczęli z niego szydzić.

– Zaraz się zaczniesz – usłyszałam głos Ruth. – Zaczekajcie. Za siedem sekund. Siedem, sześć, pięć...

Nie doliczyła do końca. Tommy ryknął głośno, a chłopcy, teraz otwarcie się z niego śmiejąc, puścili się biegiem w stronę południowego boiska. Tommy pognął za nimi – trudno powiedzieć, czy dlatego, że chciał ich ścigać, czy dlatego, że bał się zostać sam. Tak czy owak, szybko się zatrzymał i stojąc tam z poczerwieniałą twarzą, toczył za nimi wściekłym wzrokiem. A potem zaczął krzyczeć i wrzeszczeć, wyrzucając z siebie nonsensowny bełkot przekleństw i obelg.

Ponieważ miałyśmy już wcześniej okazję oglądać wiele jego ataków złości, zeskoczyłyśmy z naszych stołków i odeszłyśmy od okien. Próbowaliśmy porozmawiać o czymś innym, lecz tuż obok przez cały czas słychać było klnącego jak szewc Tommy'ego, i choć z początku przewracałyśmy oczyma i starałyśmy się go ignorować, ostatecznie – mniej więcej dziesięć minut po tym, jak usiadłyśmy – stanęłyśmy z powrotem w oknach.

W polu widzenia nie było już w ogóle innych chłopców i Tommy nie usiłował kierować swoich komentarzy pod żaden konkretny adres. Po prostu się wściekał, wymachując na wszystkie strony kończynami, grożąc niebu, wiatrowi

i najbliższemu słupkowi ogrodzenia. Laura powiedziała, że pewnie „recytuje swojego Szekspira”. Jakaś inna dziewczyna zwróciła uwagę, że posyłając kolejną wiązanekę, Tommy podnosi za każdym razem nogę, odchylając ją na zewnątrz, „niczym pies, który sika”. Właściwie ja też to zauważyłam, ale uderzyło mnie, że kiedy stawiał stopę z powrotem, wokół jego łydek fruwały pecyny błota. Ponownie pomyślałam o jego drogocennej koszulce, lecz Tommy stał za daleko, żebym mogła zobaczyć, czy ją bardzo ubłocił.

– To chyba jest trochę okrutne – powiedziała Ruth. – To, że zawsze doprowadzają go do takiego stanu. Ale sam sobie jest winien. Gdyby nauczył się trzymać nerwy na wodzy, zostawiliby go w spokoju.

– I tak by się go czepiali – odparła Hannah. – Graham K. też jest taki nerwowy, ale w stosunku do niego są bardzo ostrożni. Uwzięli się na Tommy’ego, bo ma dwie lewe ręce.

A potem dziewczyny zaczęły mówić jedna przez drugą, że Tommy nigdy nie stara się być kreatywny i że nie dał nawet nic na wiosenne targi. Przypuszczam, że tak naprawdę marzyłyśmy wszystkie, żeby z głównego budynku wyszedł jakiś wychowawca i kazał mu stamtąd odejść. I chociaż nie brałyśmy w ogóle udziału w tej ostatniej zмовie mającej na celu dokuczenie Tommy’emu, zajęłyśmy przecież miejsca w oknach i gnębiło nas poczucie winy. Ponieważ jednak nie pokazał się żaden wychowawca, wyliczałyśmy dalej powody, dla których Tommy zasłużył sobie na swój los. I kiedy Ruth spojrzała w końcu na zegarek i stwierdziła, że powinnyśmy wracać do głównego budynku, żadna z nas się nie sprzeciwiła, choć miałyśmy jeszcze dużo czasu.

Gdy wyszłyśmy z sali gimnastycznej, Tommy wciąż dysponował dużym zapasem energii. Stał na boisku prosto przed nami, a ponieważ główny budynek był po lewej stronie, nie musiałyśmy się do niego zbliżać. Poza tym zwrócony był twarzą gdzie indziej i chyba w ogóle nas nie widział. Mimo to, kiedy moje przyjaciółki ruszyły wzdłuż skraju

boiska, skreśliłam ku niemu. Wiedziałam, że wprawi to je w konsternację, lecz szłam dalej – nawet kiedy usłyszałam szept Ruth, która kazała mi wracać.

Przypuszczam, że Tommy nie przywykł, by przerywano mu jego napady, bo kiedy do niego podeszłam, wpatrywał się we mnie przez sekundę, a potem kontynuował to, co robił wcześniej. Tak jakby rzeczywiście deklamował Szekspira i jakbym weszła na scenę w połowie jego występu.

– Twoja piękna koszulka, Tommy. Całą ją ubrudzisz – powiedziałam, lecz nic nie wskazywało na to, że mnie słyszy.

Wyciągnęłam więc rękę i położyłam mu na ramieniu. Inne dziewczęta myślały potem, że zrobił to celowo, lecz ja nie wątpiłam, że nie miał wcale takiego zamiaru. Wymachiwał rękoma i nie spodziewał się po prostu, że wyciągnę do niego dłoń. Tak czy inaczej, podrywając w górę ramię, strącił moją rękę i uderzył mnie w bok twarzy. W ogóle mnie to nie zabolalo, ale głośno westchnęłam, podobnie jak większość dziewczyn za moimi plecami.

W tym momencie Tommy zdał sobie chyba w końcu sprawę, że tam jestem i że są tam inne dziewczyny. Uświadomił sobie, że stoi na tym boisku, zachowując się tak, jak się zachowuje, i posłał mi trochę głupawe spojrzenie.

– Tommy – rzekłam surowym tonem. – Pobrudziłeś błotem całą koszulkę.

– I co z tego? – wymamrotał.

Mówiąc to, zerknął jednak w dół i widząc brązowe plamy, o mało nie krzyknął z wrażenia. A potem zobaczyłam na jego twarzy zdumienie – dziwił się pewnie, skąd wiem, że tak mu zależy na tej koszulce.

– Nie ma się czym przejmować – odezwałam się, zanim milczenie mogło stać się dla niego przykre. – Plamy zejdą. Jeśli nie zdołasz ich sam zmyć, zanieś pannie Jody.

Tommy przyglądał się jeszcze przez chwilę swojej koszulce.

– Tak czy owak, to nie twój interes – stwierdził w końcu opryskliwie.

Chyba natychmiast pożałował tej ostatniej uwagi i spojrział na mnie nieśmiało, jakby spodziewał się, że jakoś go pocieszę. Lecz ja miałam go na razie dosyć, zwłaszcza że obserwowały mnie dziewczyny – i jak się domyślałam, wiele innych osób z okien głównego budynku. Wzruszyłam więc ramionami, obróciłam się na pięcie i dołączyłam do moich przyjaciółek.

Kiedy odchodziłyśmy, Ruth objęła mnie ramieniem.

– Udało ci się go przynajmniej uciszyć – powiedziała. – Nic ci nie jest? Co za zwierzę.

Rozdział 2

To wszystko zdarzyło się dawno temu, więc mogłam coś przekręcić; pamiętam jednak, że podeszłam wówczas po południu do Tommy’ego, ponieważ byłam akurat w okresie, kiedy ciągle stawiałam sobie różne wyzwania – i gdy zaczepił mnie kilka dni później, w dużej części o wszystkim zapomniałam.

Nie wiem, jak to wyglądało tam, gdzie byliście, lecz w Halsham musieliśmy prawie co tydzień poddawać się różnym badaniom; odbywało się to na ogół w sali numer osiemnaście na najwyższym piętrze i badała nas sroga siostra Trisha, albo Krowia Morda, jak ją nazywaliśmy. Tego słonecznego ranka staliśmy w długiej kolejce na centralnych schodach, czekając na badanie, podczas gdy inni, którzy mieli je już za sobą, schodzili na dół. Klatkę schodową wypełniał donośny gwar, a ja wchodziłam na górę ze spuszczoną głową, depcząc po piętach osobie, która mnie poprzedzała.

– Kath! – usłyszałam nagle czyjś głos.

Tommy, który należał do kolejki schodzących, zatrzymał się na schodach z szerokim radosnym uśmiechem. Tym uśmiechem natychmiast mnie zirytował. Być może kilka lat wcześniej, wpadając na osobę, której widok sprawiał nam przyjemność, mogliśmy szczerzyć zęby w ten sposób. W tym czasie skończyliśmy już jednak trzynaście lat i była

to sytuacja, w której chłopak zwracał się do dziewczyny w naprawdę publicznym miejscu. „Kiedy ty dorosniesz, Tommy?”, miałam ochotę zapytać.

– Wstrzymujesz wszystkich, Tommy – powiedziałam zamiast tego. – I ja też.

Zerknął w górę, i rzeczywiście schody nad nami zaczynały się już korkować. Na sekundę wpadł w popłoch, lecz potem przywarł obok mnie do ściany, żeby ludzie mogli się przecisnąć.

– Wszędzie cię szukałem, Kath – wymamrotał wreszcie. – Chciałem cię przeprosić. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro. Słowo daję, nie miałem zamiaru cię uderzyć. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby uderzyć dziewczynę, a gdyby nawet przyszło, za nic w świecie nie chciałbym uderzyć ciebie. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Nie ma sprawy. To był zwykły wypadek – odparłam, po czym skinęłam głową i chciałam odejść.

– Koszulka jest czysta – powiadomił mnie jednak radosnym tonem Tommy. – Plamy zeszły.

– To dobrze.

– Nie bolało cię, prawda? Kiedy cię uderzyłem?

– Jasne, że bolało. Rozbita czaszka. Wstrząs mózgu i w ogóle. Nawet Krowia Morda może się zorientować. Oczywiście pod warunkiem, że kiedykolwiek do niej dotrę.

– Ale serio, Kath. Nie masz do mnie urazy, tak? Strasznie mi przykro. Naprawdę, słowo daję.

– Słuchaj, Tommy, to był wypadek – powtórzyłam bez śladu ironii, w końcu się do niego uśmiechając – i wszystko zostało w stu procentach zapomniane. Nie mam do ciebie najmniejszej pretensji.

Miał niepewną minę, ale starsi wychowankowie zaczęli go teraz popychać i mówić, żeby ruszał dalej. Tommy uśmiechnął się, po czym klepnął mnie po ramieniu, jakbym była jego młodszym kolegą, i dołączył do fali schodzących.

– Do zobaczenia, Kath! – usłyszałam dobiegający z dołu okrzyk, kiedy ruszyłam po schodach.

Cała ta historia wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie, nie stała się jednak przedmiotem żadnych kpin ani plotek; i muszę przyznać, że gdyby nie to spotkanie na schodach, w ciągu następnych tygodni nie zainteresowałam się problemami Tommy’ego tak bardzo, jak się zainteresowałam.

Kilka z tych incydentów widziałam na własne oczy. Przeważnie jednak o nich słyszałam i wypytywałam wówczas ludzi tak długo, aż przedstawiali mi w miarę pełną relację. Doszło do kolejnych napadów złości. W trakcie jednego z nich Tommy podniósł podobno dwie ławki w sali numer czternaście, wywalając całą ich zawartość na podłogę, a reszta klasy uciekła na korytarz i zabarykadowała drzwi, żeby nie mógł wyjść. Innym razem pan Christopher musiał mu wykręcić do tyłu ręce, żeby powstrzymać go przed zaatakowaniem Reggiego D. podczas treningu piłkarskiego. Wszyscy widzieli również, że kiedy chłopcy z drugiej klasy seniorów ćwiczyli bieg przełajowy, Tommy jako jedyny nie miał żadnego partnera. Był dobrym biegaczem i szybko odsadził się na dziesięć albo piętnaście jardów od reszty, myśląc zapewne, iż ukryje w ten sposób fakt, że nikt nie chciał z nim biegać. Prawie codziennie krążyły też plotki o kawałach, jakie mu robiono. Wiele było dość banalnych – dziwaczne rzeczy w łóżku, robak w płatkach śniadaniowych – niektóre jednak wydawały się bezsensownie wstrętne: na przykład kiedy ktoś wyczyścił toaletę jego szczoteczką do zębów i rano czekała na niego z gównem między włoskami. Jego postura i siła – a także, jak podejrzewam, porywczy charakter – sprawiały, że nikt nie próbował z nim bezpośrednio zadzierać, ale z tego, co pamiętam, incydenty powtarzały się przez co najmniej kilka miesięcy. Sądziłam, że wcześniej czy później ktoś stwierdzi, że sprawy zaszły za daleko, lecz to trwało i trwało i nikt nic nie mówił.

Próbowałam poruszyć kiedyś ten temat sama, w sypial-

ni po zgaszeniu świateł. Po przejściu do seniorek spałyśmy po sześć dziewczyn na sali, była tam więc tylko nasza mała paczka, i leżąc po ciemku tuż przed zaśnięciem, rozmawiałyśmy często o najbardziej intymnych sprawach. Można było wtedy mówić o rzeczach, których nie śmiało się poruszyć w żadnym innym miejscu, nawet w sali gimnastycznej. Pewnej nocy wspomniałam więc o Tommym. Nie powiedziałam wiele; podsumowałam tylko, co się z nim działo, i oznajmiłam, że to naprawdę nie jest w porządku. Kiedy skończyłam, w sypialni zapadła dziwna cisza i uświadomiłam sobie, że wszyscy czekają na reakcję Ruth – jak zawsze, gdy dochodziło do jakiejś krępującej sytuacji. Po pewnym czasie usłyszałam dobiegające z jej części pokoju westchnienie.

– Masz rację, Kath – zauważyła. – To nie jest miłe. Ale jeżeli on chce, żeby to się skończyło, musi zmienić swoje nastawienie. Nie dał kompletnie nic na wiosenne targi. I czy przygotował coś na przyszły miesiąc? Bardzo wątpię.

Powinnam wspomnieć tutaj kilka słów o targach, które urządzano w Hailsham. Cztery razy w roku – wiosną, latem, jesienią i zimą – mieliśmy coś w rodzaju wystawy połączonej ze sprzedażą wszystkich rzeczy, które stworzyliśmy w ciągu trzech miesięcy od poprzednich targów. Obrazy, rysunki, ceramika; wszelkiego rodzaju „rzeźby” zrobione z tego, co było akurat na topie – zgniecionych puszek albo wbitych w tekturę kapsli. Za każdą wystawianą rzecz otrzymywało się żetony targowe – wychowawcy decydowali, ile warte było twoje konkretne arcydzieło – a potem w dniu targów szło się z tymi żetonami i kupowało, co chciało. W zasadzie można było kupować prace wykonane wyłącznie przez wychowanków z własnego roku, ale i tak dawało to dużą możliwość wyboru, ponieważ większość z nas mogła wyprodukować przez te trzy miesiące całkiem dużo dzieł sztuki.

Patrząc wstecz, rozumiem, dlaczego targi stały się takie ważne. Przede wszystkim były dla nas jedynym oprócz wy-

przedaży – o których opowiem później – sposobem, aby stać się właścicielem jakichś osobistych przedmiotów. Jeśli, powiedzmy, chciało się ozdobić ściany wokół łóżka albo nosić coś w torbie i kłaść na swojej ławce, kiedy przechodziło się z klasy do klasy, zawsze można było znaleźć coś takiego podczas targów. Dziś widzę, że targi oddziaływały na nas również w bardziej subtelny sposób. Sam fakt, iż wytwarzaliśmy rzeczy, które mogły stać się prywatnymi skarbami naszych przyjaciół, musiał wpływać na łączące nas związki. Historia z Tommym była typowa. To, jak ktoś był oceniany w Hailsham, czy był lubiany i szanowany, wynikało prawie zawsze z tego, jak bardzo był kreatywny.

Ruth i ja często rozmawialiśmy na ten temat, kiedy opiekowałam się nią w ośrodku rehabilitacyjnym w Dover.

– To dzięki temu właśnie Hailsham było takie wyjątkowe – powiedziała raz. – Dzięki temu, że zachęcano nas, byśmy cenili pracę innych.

– To prawda – odparłam. – Ale czasami, kiedy myślę teraz o targach, dużo rzeczy bardzo mnie dziwi. Na przykład poezja. Pamiętam, że zamiast obrazu lub rysunku wolno nam było oddawać wiersze. I co ciekawe, wszyscy uważaliśmy, że to w porządku, że to ma sens.

– Dlaczego mielibyśmy sądzić inaczej? Poezja jest ważna.

– Ale mówimy przecież o rzeczach pisanych przez dziewięciolatków, śmiesznych rymowankach nagryzmołonych w szkolnych zeszytach, z błędami ortograficznymi. Wydawaliśmy nasze drogocenne żetony na zeszyt z takimi wierszyczkami zamiast na coś naprawdę ładnego, co można było postawić przy łóżku. Skoro tak interesowały nas czyjeś wiersze, dlaczego po prostu nie pożyczylśmy ich i nie przepisałiśmy sobie w jakieś wolne popołudnie? Ale pamiętasz, jak to wyglądało. Zaczynały się targi i stałyśmy tam rozdarte między wierszami Susie K. i żyrafami, które robiła Jackie.

– Żyrafy Jackie – parsknęła śmiechem Ruth. – Były takie piękne. Miałam kiedyś jedną.

Prowadziłyśmy tę rozmowę w miły letni wieczór, siedząc na małym balkonie jej izolatki. Było to kilka miesięcy po jej pierwszej donacji, Ruth miała już za sobą najgorsze, i zawsze starałam się zaplanować moje wieczorne wizyty tak, abyśmy mogły spędzić tam pół godziny, obserwując zachodzące nad szczytami dachów słońce. Przynosiłam wodę mineralną i herbatniki i siedziałyśmy, rozmawiając o wszystkim, co przyszło nam do głowy. Ośrodek, w którym była wtedy Ruth, należy do moich ulubionych i nie miałabym nic przeciwko, żeby tam się dostać. Izolatki są małe, ale dobrze zaprojektowane i wygodne. Wszystko – ściany i podłoga – wyłożone jest lśniącymi białymi płytkami, które utrzymywane są w takiej czystości, że kiedy człowiek wchodzi tam po raz pierwszy, wydaje mu się, że to gabinet luster. Oczywiście nie widzi się swoich zwielokrotnionych odbić, ale takie niemal ma się wrażenie. Kiedy podnosi się rękę albo ktoś siada na łóżku, na każdej poszczególniej płytce widać te blade mgliste ruchy. Tak czy owak, izolatka Ruth w tym ośrodku miała również duże rozsuwane szklane drzwi, dzięki którym mogła oglądać z łóżka to, co dzieło się na zewnątrz. Nawet z głową na poduszce widziała duży fragment nieba, i jeśli było dość ciepło, mogła wyjść na balkon i zaczerpnąć, ile tylko chciała, świeżego powietrza. Uwielbiałam ją tam odwiedzać, uwielbiałam te chaotyczne rozmowy, które prowadziłyśmy przez całe lato aż do wczesnej jesieni, siedząc razem na tym balkonie, gadając o Hailsham, o Chałupach, o wszystkim, co ślina na język przyniesie.

– Chodzi o to – kontynuowałam – że kiedy byliśmy w tym wieku, kiedy mieliśmy, powiedzmy, po jedenaście lat, w gruncie rzeczy wcale nie interesowała nas cudza poezja. Ale pamiętasz na przykład Christy? Christy miała opinię wielkiej poetki i wszyscy traktowaliśmy ją z respektem. Nawet ty, Ruth, nawet ty nie ośmieliłaś się patrzeć na Christy z góry. Tylko dlatego, że uważaliśmy ją za wielką poetkę. Ale przecież kompletnie nie znaliśmy się na poezji. I nic nas nie obchodziła. To dziwne.